

W roku 1932 mój Ojciec Johannes Gospodarek wraz z małżonką Agnes Heik, wybudowali dom ze stajnią, na gruncie należącym do ich rodziców: Paula Heik i Johanny z domu Schweda. Ja urodziłem się w 1932, moja siostra Maria w 1935 roku, a w 1937 mój brat Alfred. Zaraz obok nas po prawej stronie mieszkali nasi dziadkowie Heik, a z nimi mieszkał jeszcze ich syn Paul z żoną Marią z domu Schwintek i dwójką ich dzieci: Cäcilie i Paul. Po naszej lewej mieszkał mój przybrany wujek Anton Biallas z żoną Margarete z domu Kapitza i ich dzieci: Gertrud, Elisabeth, Konrad oraz Maria, która była już po ślubie i nosiła nazwisko Biniok, miała trójkę dzieci. W późniejszym czasie Maria zaopiekowała się jeszcze dwójką dzieci swojej szwagierki kiedy ta zmarła. Synowie Franz i Anton byli oboje w wojsku, Anton jednak bardzo szybko stracił życie podczas wojny. Jedno z dzieci zmarło w wieku 12 lat. Miałem również innych wujków z rodzinami w Świerczowie; to znaczy byliśmy obdarzeni dość liczną rodziną, tak że do zabawy było zawsze wystarczająco dzieci.

Mój Ojciec był kołodziejem, a zawodu wyuczył się u innego kołodzieja w Świerczowie Pana Pollotzek. Później pracował w tartaku oraz na budowie. Matka zajmowała się inwentarzem zwierzęcym. Pod czym kryły się: Jedna krowa z rocznie jednym cielęciem, które musiało zostać utuczone i odsprzedane handlarzowi, Dwie świnie, które w ciągu roku zostały zabijane oraz całe mnóstwo gadziny.

Nasz ogródek warzywny był zawsze bogato obsadzony, Mama z Babcią zawsze robiły duże zapasy na całą zimę. Pamiętam jeszcze że babcia kisiła całe głowy kapusty a mama zagotowywała winogrona, które rosły u nas przy Domie. Kiedy jesienią przez wieś przejeżdżały fury z burakami cukrowymi należące do folwarku Lippe, my dzieci organizowaliśmy buraki z których potem nasza mamy gotowała syrop. Nie posiadaliśmy własnego pola, jednak kilka mórg

dzierżawiliśmy, obrabiane były przez wujka Paula. Wujek miał konia i zawsze jednego albo dwa woły. Zdarzało się też że jeden z większych gospodarzy orał nam pole. Bardzo dużo sobie pomagano, samemu nikt niedbały rady zająć się całym gospodarstwem, kiedy na co dzień miało się jeszcze pracę zawodową. Zimą młócono zboże, które od żniw leżało w stodołach. Wujek Paul z naszym Ojcem o tej porze roku zajmowali się naprawianiem pojazdów rolniczych, robieniem haczek, różnego rodzaju drewnianych uchwytów, płotów, a poza tym był to czas kiedy zajmowano się wyrobem drzewa opałowego. To była największa mordęga, w lasach należących do wsi wrębywano całe pniaki drzew i przygotowywano z nich opał.

Na zimę do wsi wracali znów pracownicy budowlani (murarze, cieśle). W naszej wsi było wielu rzemieślników, więc ze względu na małą ilość pracy na miejscu, szukali jej na obczyźnie. Mój wujek Anton Heik, Paul Nawrot und Richard Piezsyk pracowali w Cuxhaven. Sporo młodych kobiet wyjechały do Berlina za posadą i tam już zostały. Mój wujek Josef Gospodarek wyjechał za pracą do NRW (Nadrenia Północna-Westfalia) i tam się osiedlił.

Do czasów wojny mieliśmy zwykłe, beztroskie dzieciństwo. Oczywiście propaganda również nas nie omijała, jednak później zaczęło się na poważnie. Z racji tego, że mieszkaliśmy przy głównej drodze bezpośrednio byliśmy świadkami przemarszu Armii pod koniec Sierpnia 1939 roku, wszyscy wtedy wiedzieli bądź przeczuwali że coś się stanie. Ulica zapelniona była zaprzęgami, ciężarówkami, armatami, samochodami z amunicją itd.

Część mężczyzn z Świerczowa była już wcielona do Armii, wielu zgłosiło się na ochotnika. Do ochotników należał też mój kuzyn Franz Biallas. Od zawsze był kłusownikiem, strzelanie sprawiało mu radość. Leśniczy Fuhrmann z Miejsca miał jego i Franza Wallek już od pewnego czasu na oku. Nie było zatem dziwów

że Fanz poszedł do brygady strzeleckiej. W późniejszym okresie wojennym zademonstrował nam swoje umiejętności strzeleckie za ogrodem na polu. Ustawialiśmy puste puszkę albo kamienie a on z dużej odległości do nich strzelał i ku naszemu zdziwieniu każdy strzał okazał się być celnym. Dla nas jako dla dzieci był wielkim bohaterem, a później nawet nosił złotą odznakę za rany.

Sam osobiście byłem członkiem Jungvolk, do którego należały dzieci w wieku 10 do 14 lat. Należeliśmy też do HJ (Hitler Jugend). Raz że nie chciałem pozostać na uboczu społecznym a dwa, członkostwo stało się obowiązkowe. Najfajniejsze były gry i zabawy w terenie, podczas których mogliśmy się porządnie wyszaleć i bawić się w wojnę. Dokładnie pamiętam jak przy okazji jednych z ćwiczeń nocnych napadaliśmy na cmentarz Żydowski. Wokół cmentarza był duży mur to było wywołujące dreszcze, upiorne uczucie biegać nocą po cmentarzu. Otwarta studnia była oświetlona pochodniami, żeby nikt do niej nie wpadł. Przy okazji większych imprez przyjeżdżał nawet sam przewodniczący Bannu z Namysłowa i wygłaszał przemówienie. Marcinek nasz przewodniczący szczepu musiał mu składać raport.

Pewnego dnia na boisku było duże spotkanie z uczniami z sąsiednich miejscowości. W planie była nauka tańców ludowych, osobiście mnie to się w ogóle nie podobało więc uciekłem. Walter D. mnie wsypał u przełożonych i dostałem niezłe kazanie. Chciał mi to jakoś zadośćuczynić i tak podkradał w domu ciastka i mi je dawał. Młodsze roczniki chodziły do szkoły ewangelickiej, do Pana Zimm, który był nauczycielem. W tych czasach niezależnie od wyznania dzieci były nauczane wspólnie. Pewnego dnia chłopak z Przygorzela w drodze ze szkoły do domu bawił się ogniem, zbierał resztki siana i je podpalał.

Powiedziano o tym Panu Zimm i chłopak długo już się nie pobawił! Na drugi dzień w szkole już czekała na niego kara: chłopak musiał się położyć przez ławkę i dostał spore lanie. Nie pamiętam już czy Pan Zimm dostał się do wojska czy

tylko na krótko wyjechał, ale w każdym razie dostaliśmy nowego nauczyciela Pana Neugebauer. Pamiętam jeszcze, że Ruth Krecks często zastępowała nauczyciela, była bardzo dobrą uczennicą, a ja ją zawsze podziwiałem.

Im dłużej trwała wojna tym więcej organizowano zbiórek. Zbierano wszystko co w jakikolwiek sposób mogło być przydatne. Składowano to na terenie szkoły. W jednej z szop składowano artykuły higieniczne dla kobiet, które czasem podkradaliśmy na prośbę starszych dziewczyn. Pod koniec wojny lekcje odbywały się w zakrystii kościoła ewangelickiego. Nie pamiętam już dlaczego nie w szkole.

Zanim rozpoczęła się kampania rosyjska, przez naszą wieś znów przeciągła armia. Członkowie Armii byli zakwaterowywani u mieszkańców wioski. Do nas trafił oficer z którym często kłóciła się nasza mama, ponieważ lubił spędzać noce u jednej młodej kobiety, której mąż przebywał w wojsku. Nasza mama czegoś takiego nie tolerowała. Była zagorzałą katoliczką i coś takiego było niezgodne z jej wiarą. Za posiadłością mojego przybranego wujka na polu należącym do pana Lempart armia zorganizowała sobie plac do ćwiczeń wojskowych oraz do jazdy konnej. Kiedy potrzebowano konia do pracy na polu, można było sobie go tam wypożyczyć. Sam nawet spędzałem tam wiele czasu przyglądając się ćwiczeniom. Armia opuściła naszą wieś kiedy zaczęła się wojna przeciwko Rosji. Coraz więcej mężczyzn było wcielanych do wojska, nawet starsi jak np. mój przybrany wujek Anton Biallas w ramach akcji Todt(martwy). Mój Ojciec też już był po czterdziestce, ale dla nikogo nie było taryfy ulgowej. Musiał wyjechać do Flak do NRW albo do dolnej Saksonii aż do zakończenia wojny. Zawiadomień o śmierci i zaginięciach ciągle przybywało. W niektórych rodzinach stracono nawet do 3 mężczyzn. Przybywało też obcych pracowników, głównie byli to Polacy, ale też Francuzi. Każdy kto potrzebował siły roboczej

mógł składać wniosek o jej przyznanie. Wujek Paul miał do pomocy Polkę, nazywała się Holupka. Miał prawdziwe szczęście bo to ona robiła całość prac domowych po tym jak zmarła jego żona zimą 1941 roku. My nie mieliśmy żadnej siły roboczej. Wszystko było coraz bardziej racjonowane, a na rolników nakładano coraz większe podatki, które kontrolował Wiejski przewodniczący rolników Röpke.

Z racji tego że na Śląsku przez długi czas panował spokój przebywały u nas dzieci z terenu zagłębia Ruhry. Moja rodzina z NRW też do nich należała i mieszkała zatem u nas, ale w porę dostali się powrotem do domu rodzinnego. Pod koniec 1944 roku było po spokoju. Pojawiły się pierwsze rosyjskie samoloty. Wraz z moim kuzynem Konradem Biallas budowaliśmy na podwórku należącym do jego rodziców schron podziemny. Mój wujek wtedy powiedział że będzie to zbiorowy grób i jak później się okazało miał w tym rację... Propaganda ogłupiała ludzi do tego stopnia, że wielu miało nadzieję na to, że w ostatniej chwili wszystko zmieni się na naszą korzyść. Ludzie, którzy w tych czasach słuchali stacji BBC zdawali sobie sprawę z tego co nas czeka. Tak opowiadała podczas jednego z Namslauer Heimattreffen żona Konrada Sowa. Mówiła że wraz z Matką w 1944 roku by uciec przed bombardowaniem jechały z Berlina do Świerczowa do dziadków: Państwa Maciej, a ze sobą miały małe radio. Wiezorami po kryjomu słuchano właśnie radia BBC, jedno z dzieci oczywiście musiało stać na czatach przed domem bo i w Świerczowie nie można było się czuć bezpiecznym przed donosicielami. Z racji tego że słuchali programu niemiecko języcznego wszyscy wszystko rozumieli. Przypomniała mi jeszcze słowa jakie wtedy zostały wypowiedziane przez speakera: „Rosyjski walec ogniowy toczy się w kierunku śląska nie zważając na kobiety i dzieci”. Na te słowa jej matka zaczęła pakować walizki i pociągiem odjechały powrotem do Berlina. W ten sposób uniknęły nieszczęścia Ucieczki, która była jeszcze przed

nami.

19. Stycznia 1945 się zaczęło. Nie posiadaliśmy własnego zaprzęgu więc jechaliśmy na wozie należącym do Hannesa Falke. Zatem na tym wozie jechaliśmy: my-trójka dzieci Gospodarek, moja mama, mój wujek Paul Heik z dziećmi Cäcilie i Paul oraz Szwagierką Viktorią Schwintek z Domaradza jak również: Hannes Falke z dwójką dzieci, bo jego żona z małymi dziećmi opuściła wieś wcześniej. Rodzina Gawlitta jechała własnym zaprzęgiem, podobnie jak rodzina Pieszky, ale na ich wozie byli też: Johann Krowiors z żoną oraz synową Marią z trójką dzieci Johannesem, Alfredem i Josefem. Jak większość mieszkańców Świerczowa planowaliśmy w Oławie przedostać się po moście nad Odrą. Niezrozumiałym jest dla mnie dlaczego nam się nie udało. Albo zgubiliśmy resztę wozów bo byliśmy zbyt wolni, albo była jakaś inna przyczyna tego. Po drodze do Oławy spotykaliśmy masę uchodźców oraz wojska, miejscami było tak pełno, że nie dało się ruszyć ani do przodu ani do tyłu. Dlatego też na trochę dłużej zatrzymaliśmy się w Wójcicach, mieszkańcy tej wsi już dawno ją opuścili.

Po jakimś czasie wujek stwierdził Zobaczmy czy Piekarz przypadkiem nie zostawił tu jeszcze chleba. Doszliśmy więc aż do pierwszego zakrętu i o zgrozo! Widzieliśmy jak zbliżają się Rosjanie. Natychmiast zawróciliśmy i pobiegliśmy wszyscy do domu, ale była za późno bo już nas widzieli. Z wyciągniętą bronią weszli do domu, za pierwsze przeszukując mężczyzn w za bronią, następnie po zabierali im zegarki. Potem Plundryowali fury, zabierając wszystko co wydawało cię być cenne. Nawet rozcinali pierzyny, ale w poszwach znaleźli tylko pióra. Zabrali nam wszystkie konie poza jednym należącym do Pana Gławitta, bo ten zachorował na grzybicę kopyt. Swoje wychudzone konie nam zostawili. Rosjanie w końcu dali nam spokój i szli dalej. Ruskie konie za pierwsze

zostały złapane i dobrze nakarmione. Jednak chcieliśmy dla nich zbyt dobrze i jeden po drugim dostawały kolkę i zdychały.

Następnego poranka spakowaliśmy nasz pozostały skromny dobytek na wozie Pana Gawlitta i ruszyliśmy w drogę powrotną do Świerczowa. Byliśmy szczęśliwi, że przeżyliśmy, ale to co później widzieliśmy przy głównej drodze wstrząsnęło nami do głębi kości. Przydrożny rów pełny zwłok, między nimi zarówno kobiety jak i dzieci, było też wielu niemieckich żołnierzy, w dużej mierze po prostu przejechanych czołgiem i zmiżdżeni. Do dziś nie mogę wymazać tego widoku z pamięci i widzę to jak gdyby to zdarzyło się wczoraj. Po drodze byliśmy świadkami jak w miejscowości Brandigen znajoma mi dziewczyna była wleczona przez Rosjan do domu, krzyczała przeraźliwie. Miała 12 albo 13 lat. Jej rodzice bezsilnie stali przed domem płacząc i nie mogąc jej pomóc. Jechaliśmy dalej. Z racji tego, że jeden koń nie był w stanie uciągnąć wozu, musieliśmy wszyscy dodatkowo go pchać. Tak dotarliśmy aż do Biestrzykowic. Tam zrobiliśmy przerwę, zatrzymaliśmy się w jednym z mieszkań, a wujek Paul ruszył po kryjomu sprawdzić jak mają się rzeczy w Świerczowie. Rowerami z strony Świerczowa podjechali Pan Wawrock i Polka, która u niego pracowała. Powiedział, że na Boga nie mamy wracać do Świerczowa, bo Ruscy wystrzelają wszystkich. Wujek wrócił i zaczęto rozmyślać co teraz zrobić. Nagle wpadł jeden z Rosjan, chciał widzieć dokumenty, ale my ich nie mieliśmy już od kiedy zostały nam zabrane w Wójcicach. Rosjanin został zawołany przez resztę, wyszedł, ale po dłuższej chwili przyszedł Wysoki oficer, zapalił zapałkę by nas lepiej widzieć. Zauważył wujka i strzelił mu w szyję, umarł natychmiast. Po czym zwrócił się w kierunku rodziny Glawitta, która siedziała na kanapie. Pani Glawitta po Polsku powiedziała: „to jest mój syn“, ale Rosjanin bez wahania strzelił mu w pierś. Hannes przewrócił się na wznak, wyciągnął dłoń do siostry i zmarł. Byliśmy w szoku, mogliśmy tylko czekać na to kto był następny. Nic jednak więcej się nie wydarzyło. Położyliśmy zwłoki na łózkach i opuściliśmy

budynek bo ruscy chcieli go rzekomo wysadzić.

Dom po sąsiedzku był wypalony, więc poszliśmy do jednego z budynków gospodarczych i czekaliśmy aż ruscy pójdą dalej. Hannes Falke poszedł później z powrotem do tamtego mieszkania, gdzie widział, że ciała zmarłych były rozebrane aż do bielizny. Zostawiliśmy ich tam leżeć i ruszyliśmy w kierunku Świerczowa. Nieco na początku wsi zawitaliśmy do domu Pani Tronschik, która przeżyła przemarsz Rosjan. Ugotowała nam herbaty i wspólnie zastanawialiśmy się nad tym co robić dalej. Po sąsiedzku na posiadłości Państwa Sowa szaleli jeszcze Ruscy, a do nas nagle wpadł uzbrojony niemiecki żołnierz. Bardzo się wystraszyliśmy bo, jeśli tylko Ruscy by to zauważyli oznaczałoby to murowaną śmierć. Naciskaliśmy na niego, żeby się po prostu wyniósł i na szczęście tak też zrobił. Teraz chcieliśmy nadal do domu, ale w naszym domu nie odważyliśmy się zostać, ponieważ nasz dom był przy głównej drodze, zakwaterowaliśmy się w domu Państwa Pieszak. Teraz więc musieliśmy naszej babci, która została w Świerczowie opowiedzieć o tym co działo się w ciągu ostatnich dni.

Jak tylko babcia nas widziała załała się łzami. Miała nadzieję, że udało nam się przedostać przez Odrę, a tu znów byliśmy z powrotem, a jej syn leżał zastrzelony w Biestrzykowicach. Kiedy w miarę się uspokoiła, opowiedziała nam co działo się podczas wejścia Rosjan do Świerczowa. Dziadek z Babcią zostali na swojej posiadłości by zająć się zwierzętami i gospodarstwem. Z racji tego, że byli po siedemdziesiątce nie chcieli się już fatygować w taką wędrówkę. Babcia była w trakcie przygotowywania śniadania dla dziadka i trzech mężczyzn należących do szturmowego, którzy akurat przebywali u nich. Z impetem poleciały drzwi, a ruscy wtargnęli do środka, pobili mężczyzn i wyprowadzili na zewnątrz. W nowej stodole, którą wybudował wujek Paul od razu dwoje z nich zostało zastrzelonych na klepisku, a trzeci w boku stodoły.



Rosjanie w Świerczowie nikogo nie więzili. Za naszym domem leżał martwy żołnierz, po sąsiedzku u Antona Biallas w stajni również leżał jeden, a ten był już całkiem rozdeptany przez krowy, za stodołą leżał kolejny martwy.

U jednego z poległych zauważono że został odcięty palec, ruskim chodziło o obrączkę jaką na nim nosił. Przy wejściu Rosjan starsi mężczyźni też zostali zastrzelani: Polozek, Niewa i Maciej. Starego Pana Trschewik ciężko ranili i zmarł po miesiącu, bo nikt nie był w stanie mu pomóc. Jego syn Gerhard z żoną również zostali zabici. Córka Martha przeżyła. Po wojnie dostała się w okolice Brandenburgu i zmarła w miejscowości Doberlug-Kirchheim.

Żołnierze i mężczyźni należący do Volkssturmmu zostali pochowani w bunkrze zbudowanym przezemnie i Konrada Biallas, przy nich położyliśmy też liczne karabinki. Osobiście uczestniczyłem przy tej akcji, jak również: Johannes Krowiors, jego dziadek i Karl Pieszkyk. Kto pochował dokładnie tych żołnierzy którzy leżeli na polach za naszym podwórkiem już nie wiem. Zastrzeleni Cywile zostali prowizorycznie zakopani na podwórku domu Państwa Purmanns i przykryci krzewami ziemniaka. Późną wiosną stary Pan Krowiors i Karl Pieszkyk pozbijali proste skrzynie z desek, do których haczkami wciągano ciała zmarłych. Między innymi należał do nich też Hans Pollozek. 31.05.1945 roku wraz z rodziną wrócił do Świerczowa.

Teraz jeszcze coś na temat wujka Paula i Hannesa Gławitta. Nasza babcia, ksiądz Meisel, Johann Krowiors i Pani Gławitta wybrali się po ciała wypożyczonym z komendy wołem i karawanem do Biestrzykowic. Pochowano ich w Świerczowie na cmentarzu pod kościołem katolickim. Przeprowadziliśmy się do naszej babci do jednej Izby, mieszkaliśmy tam na bardzo małej powierzchni, ale czuliśmy się nieco bardziej bezpieczni. Wieczorami wszystko było zawsze zamykane na 4 spusty, bo ruscy byli nawet nocą aktywni. Pierwsze

tygodnie i miesiące były najgorszym czasem w Świerczowie, szczególnie dla kobiet. Klara P. była przez ruskich tak często nękana, że nie mogąc już wytrzymać poddała się Komendantowi.

Ruscy próbowali trochę wszystko przeorganizować. Zadaniem kobiet było zganianie bezpańsko biegających krów, ich karmienie i dojenie. Niektóre miały za zadanie gotować Rosjanom. Mężczyźni, pozwolę sobie siebie do nich też policzyć zostaliśmy również przydzieleni do roboty. Przez kilka dni workowaliśmy resztówki zboża na posiadłości Frauenholz. Jak tylko nikt nie patrzył, pół pełne worki były wyrzucane z budynku przez lukę na gnojownik, tam stał jeden mężczyzna i przykrywał je gnojem, potem wieczorem po kryjomu je zabierano. To było bardzo niebezpieczne, ale przez ciągle towarzyszące nam niebezpieczeństwo byliśmy już zahartowani. Razem z bratem skradaliśmy się u Frauenholz do kurnika. Alfred musiał się przecisnąć przez okienko i podprowadzić kury. U mojego wujka Josefa Heik, który już nie wrócił też jeszcze znaleźliśmy kilka kur. Jak już wspominałem, moi dziadkowie mieli jeszcze swoje krowy, więc mieliśmy przynajmniej codziennie świeże mleko. W piekarni Viehweger, Niemiec który był nam zupełnie obcy wypiekał chleb dla Rosjan. Mąkę brano z młyna od Hoffmarin w Miejscu. W tym czasie nie głodowaliśmy bo w pustych domach jednak pozostawiono sporo produktów spożywczych.

Wiosną 1945 roku pojawili się Polacy jako nowi właściciele. Zajęli pustostany i urządzili sobie w nich mieszkania. W prawie wszystkich domach znajdowało się kompletne umeblowanie i wyposażenie. Mieli wiele łatwiejszy początek po swoim wygnaniu niż my. W międzyczasie zamieszkaliśmy już w naszym domu. Dostaliśmy od babci jedną krowę i tym samym mieliśmy własne mleko. Dziadek Heik umarł w marcu 1945, więc nasza mama miała jeszcze więcej obowiązków.

I tak, młodemu wołowi trzeba było przyswoić ciągnięcie wozu i pługu, po wielu zmaganiach i kłopotach jednak nam się udało.

Polacy zabierali naszej babci krowy jedną po drugiej i nic nie można było przeciwko temu zrobić. Im więcej Polaków przybywało, tym mniej krów zostawało naszej babci, aż zabrano jej już nawet ostatnią. My w ten sam sposób też zostaliśmy bez krowy. Jeśli się nie chciało słuchać Polaków, ci przychodzili z ruskimi żołnierzami, którzy na wstępie grozili zastrzeleniem. Pamiętam jeszcze jak jeden z oficerów totalnie pijany marudził, że chce powybijać wszystkich Niemców, tak długo bawił się granatem, że nagle słyszeliśmy wybuch i było po nim.

Po zakończeniu wojny, wielu mieszkańców Świerczowa powróciło. Stanislaus Wallek z żoną przyjechali jednym wozem ciągniętym przez konia. Na krótki czas zamieszkali u nas. Rodzina Lempart wróciła zaprzęgiem konnym z swoim wielkim wozem z gumowymi kołami, którego natychmiast odebrali im Rosjanie. Jeden koń został im skradziony, a drugiego później odebrali im Polacy. Razem z rodziną Lempart wrócił też Polak, który wcześniej u nich pracował. Zawędrował z nimi aż do podnóża Sudet i kiedy zmarł Pan Lempard w Leitmeritz, czuł się odpowiedzialny za kobiety. W Czechach zadbał o to żeby nie straciły koni ani wozu i wędrował z nim z powrotem, aż do Świerczowa. Reszta wróciła z wozami, które musieli sami ciągnąć, jakimiś innymi wózkami, albo zupełnie z niczym. To był żałosny widok, jak docierali niegdyś dumni ludzie, a teraz wychudzeni i zabiedowani.

Rodzina Sobannia była również między nimi. Było tam kilka sióstr i piątka dzieci, wprowadzili się znów do swojego domu. Wieczorem lub nocą kiedy Ruscy do nich zmierzali, otwierały okno i wszystkie zaczynały przeraźliwie krzyczeć by ich

odstraszyć. Mój wujek Johann Stanchly , jego żona Anna z domu Heik oraz córki: Hildegard i Hedwig wyjechały z Świerczowa z gospodarzem Busse, dotarli do podnóża Sudet, a teraz wracali pieszo. Najstarsza z córek Martha wyjechała już przed wojną do Berlina, w późniejszym czasie wyemigrowała do stanów z jednym z Żołnierzy Amerykańskich. Rodzina Stanchly zamieszkała w mieszkaniu, które należało do wujka Paula. Dom Josefa Heik, w którym mieszkali wcześniej został spalony przez ruskich.

Wujek Johann nie był wcielony do wojska bo był chory, ale nie trwało długo i nie potrafił już opuścić swojego łóżka. Polacy znowu przyszli z pianym Rosjaninem, by nas pozbawić dobytku i zabrali co tylko potrzebowali. Ukradli wujka Johanna pierzynę i właśnie to było gwoździem do jego trumny, wkrótce zmarł.

Po kilku miesiącach wrócił mój Ojciec, wrak człowieka. Polacy go uwięzili i całymi dniami maltretowali, a nocami przesłuchiwali, nawet godzinami kazali mu stać w zimnej wodzie. Później został zmuszony wyjechać na górny Śląsk pracować w kopalniach węgla. Tak naprawdę nigdy od tego nie odpoczął i zmarł mając 58 lat w miejscowości Göme w powiecie Rathenow.

Do Świerczowa napływało coraz więcej Polaków i z racji tego, że niegdyś puste domostwa były już zamieszkane, panoszyli się w domach zamieszkanym przez Niemców. U nas zamieszkała rodzina licząca pięciu członków, zajęli duży pokój i kuchnię. My musieliśmy się wynieść na strych a rodzina Wallek również dostała tylko jeden pokój, aż do momentu kiedy ich dom mógł zostać znów zamieszkaany. Polak (Woretzky) był byłym oficerem i trudno było z nim się dogadywać. Z kuchni nie mogliśmy już korzystać.

Na kolejne negatywne zdarzenie nie musieliśmy już długo czekać. Ktoś wrzucił do szamba Polską flagę. Prawie na każdym domu była jedna powieszona. Teraz znów się zaczęło, przyjechała Polska milicja i zaczęła niszczyć wszystko co niemieckie. Wtedy ja wraz z Ojcem byliśmy na polu. Siostra przybiegła i z daleka krzychała, że szaleją na podwórku Pieszчыków, które było lekko ukośnie, ale naprzeciwko podwórka mojej babci. Kiedy z ojcem dotarliśmy tam, oni już wyszaleli swoje upojenie alkoholowe i pojechali do Bąkowic, gdzie był posterunek Milicji. W Świerczowie otworzono mały sklepik gdzie można było zakupić to co najpotrzebniejsze jednak nie mieliśmy pieniędzy, bo nasza Reichsmark nie była już nic warta.

Moi rówieśnicy Hans Swiers i Leopold Thomas, który przebywał tu u swojego wujka Gustava Kreks, wyjechali na Górny Śląsk, żeby przywieźć potrzebne dobra. W drodze powrotnej zawitali do mojej babci, akurat siedziałem tam na kupie słomy. Hans został przy mnie i opowiadał o ich podróży. Leopold chciał się zobaczyć z wujkiem, kiedy szedł do niego został złapany przez milicjanta. Milicjant z Leopoldem zmierzał w naszym kierunku, przewidywałem najgorsze, uciekłem i schowałem się w piwnicy jednego z spalonych domów i poczekałem najpierw kilka godzin. Hans i Leopold zniknęli na kilka dni. Kiedy wrócili do Świerczowa było widać, że byli okropnie katowani. Najpierw w zostali w Bąkowicach dniami i nocami bici, potem dostali się do Namysłowa na przesłuchania i dopiero potem puszczono ich do Świerczowa. Zdrowie Hansa cierpiało przez długi czas, otrzymał pomoc dopiero kiedy udało mu się uciec z bloku wschodniego na zachód. Mimo wszystko musieliśmy z żyć z Polakami, a oni z nami. Pola jeszcze w 1944 roku były należycie obsiewane, tak więc dopiero latem 1945 roku musiały wydać plon. Nie było łatwo określić do kogo należy i kto ma co dostać. Stanislaus Wallek przejął trochę tej odpowiedzialności i przekazał Polakom które pola i które łąki należą do czyjej

posesji. W jakiś sposób udawało nam się przyplątywać. Nasza babcia miała piec, w którym wypiekaliśmy chleb: my, nasza babcia i rodzina Stanchly. Mieliśmy na strychu jeszcze odrobinę zboża, którego mama strzegła jak oka w głowie.

Rodzina mojego przybranego wujka Antona Biallas została jeszcze 19. 01.1945 zabrana przez niemieckie wojsko. Nikt z nich nie wrócił już do Świerczowa, a ich dom został natychmiastowo zamieszkanym przez Polaków. Pierwszą rzeczą jaką zrobili nasi Rodacy po powrocie na przełomie maja i czerwca było posadzenie ziemniaków. Rzeźnik Pohl w imieniu Rosjan zwołał wszystkich Niemców do pracy. Zostaliśmy załadowani na ciężarówkę i zawiezieni do Folwarku Lippe, gdzie pracowaliśmy na polach. Życie było żałosne, nikt nie wiedział co go czeka jutro, co będzie w przyszłości.

Jesienią 1946 roku dostaliśmy wezwanie, by spakować swoje rzeczy i przygotować się do wysiedlenia. Dostaliśmy propozycję opowiedzenia się za Polską, za polskim obywatelstwem, uzyskując możliwość pozostania w domu rodzinnym, jednak zdecydowana większość odmówiła. Zostaliśmy zawiezieni na dworzec kolejowy w Namysłowie, tam nas przeszukano i zabrano nam to co Polakom mogło się przydać. Zostaliśmy ponownie postawieni przed decyzją opowiedzenia się za Polską, ale teraz już nikt tego nie zrobił.

Tak więc zostaliśmy załadowani do wagonów na zwierzęta i jechaliśmy aż do nowo określonej granicy, tam ponownie werbowano do opowiedzenia się za polską- nikt tego nie zrobił. Przeszukano nas ostatni raz, zabrano co tylko mogłoby być jeszcze przydatne i na pożegnanie dostaliśmy dawkę pudru na wszy pod ubranie i jechaliśmy do Rathenow. Tam zakwaterowano nas w wielkich kamiennych barakach. Zaopatrzenie było mizerne. Matka miała ze sobą woreczek mąki tak że mogła zagęścić wodzionkę. Byliśmy szczęśliwi kiedy minął czternasty dzień. Teraz mogliśmy już z dworca kolejowego wyjechać w

kierunku małego miasteczka Rhinow oddalonego o kilka stacji, gdzie zostaliśmy rozładowani i podzieleni na przygotowane wcześniej zaprzęgi rolników. Stąd jechaliśmy więc do poszczególnych wsi. My zostaliśmy zakwaterowani u rolnika w Görne. Był to nasz nowy dom, tak też zaczął się nowy etap w naszym życiu.